CENA NUMERU 1 KOR.

Rok I. TARNÓW ▫ CZERWIEC 1919 Numer 3.

CZUWAJ

CZASOPISMO TARNOWSKIEJ MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ
ORGAN HARCERSKIEJ KOMENDY DZIELNICOWEJ W TARNOWIE

HEJ! WSTAŁA POLSKA!

Hej! wstała Polska!
A wstała z grobu nie w tęczach i blaskach,
nie w jednej szczęścia i cudu godzinie,
ale w pożarach, w krwi i harmat trzaskach,
— w bólu się jęła odradzać i jęku
wśród zgliszcz dymiących i pałaszy szczęku,
przy synów wiernych ginącej drużynie!

I wstała z grobu, — nie jak nam się zdało —
w wianiu krakusek i sztandarów szumie,
nie w górnej ciszy i z nabożną chwałą
przez jakichś złotych zbawiona rycerzy,
co przylecieli w skrzydlatej odzieży
jaśni i szczęśni w uroczystej dumie...

Jeno się jęła szamotać i krwawić
w dzikiej wichurze bojowej rozpaczy —
— i cały naród trza było załzawić,
w nadludzkim trudzie wygubić tysiące,
by powstać z grobu przez te lwy ginące
i przez te tłumy wygnańców tułaczy!

Nie wstała przy dzwonach z wieżycy kościołów
ale przy biciu dział!...
Ani przy hucznych przelotach sokołów,
jeno w waleniu skał,
jeno w tem morzu synowskiej krwawicy,
jeno w bagnetów zimnej łyskawicy
i szarżach ułanów lackich
łamiących szable i końskie podkowy,
na wrażej stali i łbach hajdamackich!
— i w takich trudnych kuł się naród nowy!

— — — — — — — — — — — — — — —

Więc i my pójdziem nie na jasność sławy,
nie na słoneczny gościniec i prosty,
jeno przez kolce i ciernie i osty,
na ciężkie znoje i twarde przeboje
oczyścić z brudu i ostrzyć pług rdzawy.
A wolą silni i zdrowiem olbrzymi,
pójdziem na ugór, co zgliszczami dymi,
by zeń dobywać bogactwa i złoto
z pieśnią na ustach i bujną ochotą...
hej! my kość z kości i krew z krwi młodzieży
Hufiec harcerzy! *J. B.*

NA KOLONIE.

Oto stanęliśmy u wrót miesięcy letnich... Oto powiał ku nam świeży powiew od pól i lasów, oto woń jodeł i świerków napełniła nas niepojętą rozkoszą. Wołają nas łąki obsypane garściami pełnemi barw i woni — pękami kwiatów. Rzucają nam hasło rozszumiałe bory, które tak radośnie przyjmują do siebie pragnących czarownego życia wśród cudów przyrody. Rzucają nam hasło potężne nasze góry, od których taka moc i świeżość i wesele idzie do dusz naszych. Rzucają nam hasło!...

Niechże z naszej strony zabrzmi wspaniały odzew. Niechże się serca nasze rozpalą do tej drogiej, zawsze wiernej, a tak lekceważonej często matki — natury. Niechajże każdy, kto może, rzuca szare mury miast i bieży tam, gdzie zdrowie i siłę na dalsze trudy czerpać może ze samego źródła. Uderzmy w bębny, zagrajmy w rogi — na apel na pobudkę. Do apelu wszyscy i w las!

Na letniska i kolonie wakacyjne! — powinno być waszem hasłem, powinno być hasłem rodziców waszych, którym przecież na niczem, tak, jak na zdrowiu synów i córek nie zależy. Będziemy mieli takie letniska, będziemy mieli kolonie, gdzie każdy nie tylko napije się czystej wody z krynicy zdrowia, ale i pokocha przyrodę, zżyje się z kolegami i zdobędzie wiele wykształcenia harcerskiego. Czyż trzeba wam opisywać te cuda, te niezapomniane chwile, które każdy z nas będzie tam przeżywał. Czyż trzeba wam wysławiać wieczorów cichych przy obozowem ognisku, gdzie wesele wre i kipi, a dusze łączą się we

wspólnem umiłowaniu roztaczających się dokoła skarbów przyrody? Czyż trzeba wam mówić o tej harcerskiej włóczędze po górach i lasach, gdzie radość i tężyzna rozpiera nam serca, a okrzyk szczęścia wyrywa się z piersi, oddechających przecudnem powietrzem? Czy trzeba wam opisywać rozkosz chłodnej kąpieli, po trudach i skwarze południa? — Chyba każdy z was dobrze to wszystko odczuwa, chyba nikt nie zawacha się ani chwili, gdy będzie miał sposobność, choć parę dni tych rozkoszy użyć. Zatem, kto może, kto nie boi się lasu i świeżego powietrza — na kolonie!

PIONIER.

(Ciąg dalszy).

Ścinamy najpierw część zbocza na t. zw. „blachę kuchni" — t. j. miejsce, gdzie stawiamy naczynia, poczem postępujemy zupełnie analogicznie.

Łączymy go z otworem na naczynie i z kamieniem, który tutaj nie będzie potrzebował przedłużenia za pomocą darni. Teraz zabieraj się do rozpalenia ogniska i do gotowania. Czynność twoja, jako pioniera, skończona. Zamieniasz się w kucharza.

Ścinanie drzew nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się to mogło zdawać. Najważniejszem jest zabrać się do rzeczy z pewnym określonym planem, a nie robiąc „na oślep". Pamiętać też należy o wyostrzeniu narzędzia (siekiery lub piły). Przy ścinaniu drzewa za pomocą siekiery nadrębujemy u nasady drzewo z tej strony, na którą chcemy, by się zwaliło — poczem nadrębujemy o 10 — 15 cm. powyżej pierwszego nacięcia. Upadek drzewa powodujemy przy użyciu lin. Ścinanie drzewa wymaga wprawy i ostrożności, gdyż drzewo upadając, skaleczyć może pracujących lub sąsiednie rośliny.

Umiejętność ścinania drzew przydać się może harcerzowi w różnych okolicznościach jak np. przy użyciu drzewa rosnącego nad wązkim a głębokim strumieniem jako kładki; wtedy ścinamy drzewo tak, aby upadając, oparło się wierzchołkiem o brzeg przeciwległy; po obciosaniu gałęzi otrzymujemy doskonałą kładkę (po której — nawiasem mówiąc — przejść można tylko okrakiem, choć zgrabny chłopiec potrafi i w pozycyi stojącej — ćwiczenie się w pochodzie równoważnym! —); przy budowie schroniska — szałasu na więcej osób.

Zeszłego roku pluton harcerzy krakowskich, przebywający na letnim obozie roboczym w lesie Wolskim, koło Krakowa, miał robotę właśnie przy ścinaniu drzew.

Pamiętajcie jednak że przed ścięciem drzewa trzeba postarać się o pozwolenie u właściciela.

Zaostrzenia żerdzi uczy praktyka. Na ten właśnie szczegół chcę zwrócić waszą uwagę. Często zauważyłem w obozie harcerza, który wałęsa się bez zajęcia — może dlatego, że mu zastępowy nie wyznaczył, lub że w danej chwili nie ma rzeczywiście nic pilnego do wykonania — w to nie wchodzę. Harcerz jednak umie każdą chwilę wykorzystać, ot w takiej chwili naprzykład, nie masz nic do roboty — weź się choćby właśnie do ćwiczenia się w „szybkiem i starannem zaostrzeniu żerdzi".

Zanim powiem o rozbijaniu namiotów i budowie szałasów, parę słów powiedzieć należy o samem zakładaniu obozu. Obozy rozróżniamy dwojakie: biwak parogodzinny zazwyczaj i obóz stały. W obozie rozbitym na parę godzin nie buduje się zazwyczaj szałasów, miejsce na biwakowanie nie musi być tak dobrze wybrane, jak to się ma przy obozie stałym. Ponieważ typowym gatunkiem obozów jest obóz stały, opisaniem tego się tu zajmuję. Miejsce na obóz powinno być: suche, w bliskości dobrej wody do picia (o ile możności to i do kąpieli), obfitujące w paliwo i możliwie ukryte. Najlepiej rozejrzeć się za pagórkiem zalesionym, lub polanką na skraju lasu, wzniesioną ponad otaczający teren, — malowniczo położoną, nie przy gościńcu, lub bardziej uczęszczanej drodze, zakrytą wogóle przed okiem ludzkiem. Unikać zaś należy miejsc nizkich, mokrych, łąk pokrytych kwiatami (ze względu na to, iż rośliny w nocy wydzielają CO_2 w dużych ilościach), nagich wierzchołków, wystawionych na działanie wiatru. Gdy znajdziesz takie miejsce, udaj się do właściciela z prośbą o pozwolenie rozbicia obozu. Gdy je otrzymasz, przyprowadzasz zastęp na miejsce, wyznaczasz linię zbiórki, ubezpieczasz obóz i zabierasz się do prac obozowych. Wyznaczyć należy równocześnie ludzi do budowy kuchni, zbierania paliwa, do wykopania dołu na śmieci i ustępowego, oraz do budowy namiotu względnie szałasu. Jeśli woda jest daleko od obozu, należy zaraz wysłać ludzi po nią.

Baczyć należy, aby rozdzielić odpowiednio robotę między chłopców, tak, aby żaden nie próżnował.

Budowa namiotu.

Miejsce pod namiot należy starannie oczyścić z korzeni, kamieni i t. p., teraz rozbić należy namiot frontem (wejściem) do linii zbiórki i o ile możności zwróconem na południe. I rozbijania namiotu, jak i wszystkich innych robót obozowych nauczyć się można tylko przez praktykę. Rzecz w teoryi łatwa, trudniejszą okazuje się w rzeczywistości. Namiot powinien być zbudowany równo, płótna mają być naciągnięte, a nie zwisać jak krysy kapelusza harcerskiego po deszczu. Trudno bez rysunków podać sposób rozbijania namiotu. Przećwiczyć to musicie sami z waszym zastępowym, czy instruktorem. Baczną uwagę zwrócić nanależy na poprawne okopywanie namiotu na wypadek deszczu. Po zbudowaniu należy namiot okopać. Roboty tej nie wolno odkładać „na potem, bo teraz piękna pogoda", i najniespodziewaniej w świecie padać zacznie deszcz w nocy, a wtedy los mieszkańców namiotu nie jest do pozazdroszczenia. A okopywanie mamiotu dopiero podczas deszczu nie należy do zbytnich przyjemności i zazwyczaj nie uchroni posłań od przemoknięcia.

Przed deszczem zwolnić należy napięte płótna, przez przesunięcie kołków, bowiem płótna (i linki) zmoczone, kurczą się i pękają.

Jeśli chcemy mieć w namiocie (z czterech płacht) więcej miejsca, wtedy wbijamy kije nie na linji połowiącej namiot podłużnie, tak, jak się to czyni zwykle, lecz skośnie, jeden z prawej, drugi z lewej strony, w $^1/_3$ szerokości namiotu. Tak stojące kije utwierdzamy i chronimy przed wywróceniem sznurkiem, naciągniętym w kierunku przeciwnym pochylenia kija, przywiązanym do palika, wbitego w odległości 2 — 3x poza namiotem.

W jesieni, a nawet i w lecie noce bywają czę-

sto bardzo zimne, wtedy pobyt w namiocie staje się mniej przyjemnym, a niejeden ciura wzdycha z upragnieniem do łóżeczka i ciepłego pokoju. Doświadczony ćwik wie, jak sobie ma poradzić: po prostu zbudować piec. Oburzycie się; powiecie, że to drwiny. Otóż wiedzcie, że rzeczywiście namiot można opalać. Postępujemy wtedy w następujący sposób: koło jednej ze ścian bocznych kopiemy palenisko, koło 40 cm. głębokie i tyleż szerokie, a do 1 m. długie, na końcu paleniska, już o jakie 40 — 50 cm. poza namiotem przebijamy od góry otwór kominowy i budujemy komin z darni około 1 m. wysoki. W wykopanem palenisku palić można przez całą noc nagromadzonem paliwem, bez wychodzenia z namiotu. O ile chcemy mieć odrazu gotową każdej chwili gorącą herbatę, zamiast jednego otworu na palenisko, kopiemy wewnątrz namiotu dwa, z których jeden będzie paleniskiem, a drugi otworem na menażkę. Jeżeli nie gotujemy, otwór ten musimy nakryć, gdyż inaczej dym zamiast kominem, będzie uchodził do namiotu; kładziemy tedy nań płaski kamień, który rozgrzany dostarczał nam będzie także nieco ciepła. Z własnego doświadczenia podaję jeszcze, że komin musi być dość wysoki, bowiem gdy nagle wiatr zmieni kierunek, zwrócić może wszystek dym z powrotem do namiotu, czego unikniemy, gdy damy kominowi odpowiednią wysokość.

W takim namiocie śpią wygodnie 4 osoby. Nie jest praktycznem opalanie namiotu z dwóch płócien, ze względu na szczupłość miejsca, choć na jednego mieszkańca miejsca w takim namiocie będzie i tak dosyć.

Jeśli nie mamy odpowiedniej ilości namiotów, budujemy szałasy. Budowanie szałasu trudniejszych i więcej czasu potrzebujących robót obozowych, dlatego brać się do nich należy natychmiast po przybyciu na miejsce obozu. Choć postawienie szałasu jest rzeczą znacznie trudniejszą od rozbicia namiotu, ale jednak porządnie zbudowany szałas jest znacznie wygodniejszy, cieplejszy i suchszy od namiotu. Jak zawsze, tak i tu wiele zależy od zręczności i sprytu budowniczego, a także od materyału, znajdującego się pod ręką. I miejsce musi być odpowiednio wybrane: równe, suche nie pod drzewami o nisko zwieszających się gałęziach, gdyż w razie deszczu woda będzie kapała na poszycie. Ziemię należy, podobnie jak pod namiot zrównać, usunąć korzenie i wyboje, gdy jest mokro, dobrze jest rozpalić szerokie ognisko, poczem po zgaszeniu przysypać piaskiem, liśćmi lub igliwem. Rodzaje szałasów są różne.

(C. d. n.)

CZY MOŻNA ICH BYŁO WYRATOWAĆ?

Było to w zimie, kiedy Niagara znieruchomiała w śniegu i lodzie. Potężne i groźne bloki lodowe stanęły na przeszkodzie rozhukanym falom, które nie mogąc się wydostać z tego ciasnego dla nich obrębu, z furją i grozą uderzyły na nadbrzeżne skały, w wściekłości swej i szale chcąc wyruszyć z posad granitowe opoki.

Jednak nadaremno!...

Wtedy pijane wściekłością i gniewem, całą swą moc i siłę olbrzyma skierowały na tego śmiałka, który w swej dumie i zarozumiałości opór im stawić śmiał, który niebacznie, nie zdając sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, sam się w ręce tych mocarek i władczyń oddawał.

Nie wytrzymały w swej spójności potężne góry lodowe. Złamane gniewem i zemstą szumiących fal, porwane wartkim prądem Niagary, pożeglowały w dal, na łaskę i niełaskę jej się zdając...

Wtem tragiczny wypadek wstrząsnął do głębi umysłami obecnych. Młode małżeństwo wraz z synem wybrało się na, z złomów lodowych i gór utworzony, naturalny „most lodowy", aby ztamtąd walkę i zmaganie się potężnych żywiołów oglądać.

Nieszczęsnym trafem chwila wyzwolenia się z oków lodowych Niagary nastąpiła tak szybko, wprost gwałtownie, że biedna rodzina bez możności ucieczki, rzucona na taflę płynącego lodu, z zawrotną szybkością pożeglowała w dół rzeki.

Dziesiątki ludzi biegły wzdłuż rzeki, z przerażeniem patrząc na straszliwe położenie rozbitków, nie będąc w stanie udzielić im jednak jakiejkolwiek pomocy, gdyż mimo obfitości łódek, płynąca kra śmiałemu żeglarzowi nie daleko oddalić się pozwoliła, do długiego szeregu ofiar Niagary przyłączając jeszcze jedno imię — bohatera.

Wodospad Niagary od miejsca wypadku oddalony był zaledwo o parę kilometrów. Ostatnią deską ratunku dla nieszczęśliwych mogły być jeszcze dwa mosty około 160 stóp wysokie, a w odległości może 200 m. od wodospadu się znajdujące, dokąd też podążyli zawiadomieni rybacy okoliczni, z długiemi osękami i linami.

Przydatnemi okazały się jedak tylko przyniesione liny, które umieszczono w ten sposób, że swemi końcami sięgały aż do powierzchni rzeki.

Pierwszemu chłopcu udało się pochwycić linę, lecz w chwili, kiedy nieznacznie wyciągnięto go dopiero w górę, zziębnięte i skostniałe palce odmówiły posłuszeństwa.

Niagara pochłonęła swą ofiarę.

Mężczyzna, który dopiero przy drugim moście zdołał pochwycić linę, pragnąc wyratować swą żonę, począł się do tejże przywiązywać, lecz również jak i dziecku, tak i ojcu zziębnięte ręce odmówiły posłuszeństwa, a szarpnięta prądem kra wyrwała mu z rąk linę — dalsze dwie ofiary rzucając w przepaść wodospadu.

Jak postąpiłby w tym wypadku prawdziwy harcerz? Jak można było jednak tych ludzi wyratować?

Najlepsze rozwiązania zostaną ogłoszone w przyszłym numerze naszego pisemka.

Z niemieckiego Cer.

„WE MGŁACH"

(OBRAZEK TATRZAŃSKI)

Cały świat tonie we mgłach. Mleczno opalowa powódź. Biel taka smutna, taka nieprzejrzysta... I szczyty i doliny i malowniczo rozrzucone stawy ogarnia nowy świat, świat bieli mgieł. I tylko słychać świst wichru, tłukącego się gdzieś w grani, tumany mgły podrywane silnymi podmuchami odsłaniają na chwilę krajobraz, tu jakiś fragment skalny, tam znów skorupę lodu, pokrywającą Zmarzły Stawek.

Wokół biało..: biało, przesmutnie biało. Znikło niebo, całą twą postać otacza sukmana mgły. Po omacku, zaledwie możemy odróżnić ścieżkę na dwa kroki przed sobą, a tu po obu stronach czają się straszne przepaście. Przeczuwa się naokoło siebie obecność górskich olbrzymów, bo jakoś duszno, znać, że schodzi się żlebem, zamkniętym ze wszech stron potężnymi szczytami. Na lewo, to zgrabna turnia Małej Wysokiej, nad nami przełęcz Polski Grzebień i szczyt Wielicki, w dole zaś u naszych stóp Zmarzły Staw. To wszystko jednak wiemy z teorji, mgły bowiem zakrywają świat dokoła. Ponuro, traci się ochotę do pogawędki, tem bardziej, że co krok potykasz się o jakiś wystający kamień, a nigdzie nic nie widać. Wytężasz oczy, aż ból w nich uczuwasz, ale nic nie spostrzegasz.

„A psia kość!" Te mgły przeklęte!" — wykrzykuje któryś z nas — „nietylko że nam popsuły wyprawę na Garłucha, ale jeszcze i teraz nie dadzą się nam nacieszyć pięknym widokiem".

Schodzimy zwolna do doliny, na dnie której leży Zmarzły stawek. I tu nagle, jakby litując się nad nami, podnoszą się mgły pod silnym powiewem wiatru i odsłaniają nam dziki, ponury, na wpół jeszcze lodem pokryty staw.

Droga dalej jest bardzo mylna i poważnie niebezpieczna, zwłaszcza teraz wśród mgieł. Ale my, mając wybornego przewodnika, za którym i po ciemku można iść spokojnie, nie mamy obawy co do siebie. Myślimy jednak o nieszczęśliwych dwóch naszych poprzednikach, którzy zbłądziwszy tutaj wśród takich mgieł, jak i teraz, spadli gdzieś w przepaść i dotąd nie odkryto ich kości.

Ponure wrażenie! Śmierć w pobliżu mająca miejsce, pobudza nas do jeszcze głębszego milczenia i powoli schodzimy coraz niżej. Tymczasem szara płachta mgieł zaczyna się miejscami rozrywać, tworząc okna, przez które tu i ówdzie zobaczyć można pobliskie skały.

Dochodzimy do dwóch ogromnych głazów, leżących w górnym piętrze doliny Świstowej i tutaj postanawiamy odpocząć i zjeść drugie śniadanie. Wokoło jeszcze mgła, ale coraz rzadsza i mniej przenikliwa. Można już doskonale oglądać różowy granit „Ciołek" (tak nazywano skały, przy których spoczęliśmy), a nawet próbować wyjścia na nie.

Zwolna znikają nam z przed oczu mgły, a natomiast cudowny widok ukazuje się naszym oczom. Poniżej białych, smutnych, tylko tu i ówdzie upstrzonych trawą dolnych piąter doliny Świstowej, ciągnie się najładniejsza dolina tatrzańska, dolina Białej Wody, po której obu stronach drzemią na straży w promieniach pierwszego słońca olbrzymy górskie. Cała dolina pokryta cudownego odcienia lasem smrekowym, pomiędzy którym wartko płynie przeczysty potok. Zdala u jej wejścia widać dwa szałasy, tu i ówdzie w lesie ukazują się szmaragdowe polanki. Z jednej strony doliny sterczą przepaściste ściany Ganku i Młynarza, z drugiej bieleją upłazki Szerokiej Jaworzyńskiej a zamyka widnokrąg Wołoszyn. Widok w blasku słonecznym jeden z najpiękniejszych w Tatrach.

A więc wiwat! Pokonaliśmy mgły, a w nagrodę za to natura obdarzyła nas przepięknym widokiem.

Z. P.

„Ryczący Bawół".

Ryczący Bawół stracił woreczek z lekami...

Czy wy wogóle możecie sobie wyobrazić, co to jest stracić woreczek z lekami?

Nie! Wy z pewnością nie potraficie sobie tego nigdy wyobrazić, bo pewnie nikomu z was nie zdarzyło się stracić woreczka z lekami.

No, a Ryczący Bawół go stracił...

Wciąż drga mu w mózgu niejasne wspomnienie tej strasznej chwili, wciąż widzi, jak zżyma się i wścieka Widdle-Top, stary wódz plemienia.

Ryczący Bawół shańbił się okrutnie; pozwolił uciec więźniowi, nad którym czuwało jego bystre oko. Pozwolił umknąć najzawziętszemu wrogowi swego plemienia. Czy to Wielki Duch oślepił jego szparkie źrenice i okrył chmurą sławną czujność jego? Czem zawinił? Za co spotkało go tak straszne, tak niewypowiedziane nieszczęście?

I teraz Standing Olbrzymi, dzikiej duszy i dzikszego jeszcze męstwa wódz Komanczów, jedzie pewnie przez puszczę, na siodle się kiwa i całą gębą się śmieje. Smieje się z niedołężnego wojownika, który niebacznie dozwolił mu wydostać się z matni.

Oh, zżymał się i wściekał Widdle-Top, stary wódz plemienia, gdy czerwoni wojownicy donieśli mu o ucieczce strasznego Komancza. Stanął przed nim Ryczący Bawół, a wstyd smagał mu tak przerażoną duszę, jak gałęzie drzew smagają pędzącego przez las na koniu czerwonego wojownika. Oczy nie śmiały spojrzeć na wykrzywioną gniewem twarz wodza, opuszczone, szukały pilnie dziur na końcach jego skórzanych mokassynów.

A wódz, wołając wielkim głosem Manniton o pomstę nad winnym, zdarł mu w przystępie wściekłości z szyi woreczek z lekami, cisnął na ziemię i podeptał nogami. O wstydzie!

Nie rzekł nic Ryczący Bawół i zabrał się i poszedł...

Poszedł...

A serce targał mu wicher zemsty nad tym, który tego poniżenia był sprawcą. Głucha zawziętość chwytała za rękojeść noża i wygrażała nim dalekiej Północy, gdzie het u źródeł sinej Missisippi, stały białe wigwamy Komanczów...

Niechaj drży, niech się lęka Standing Olbrzymi!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Trzeci już dzień szedł czerwony mąż śladami Komancza. Trzeci już ranek z lekkomyślnem weselem witał go szumem rozkołysanych drzew i głośnym gwarem rozśpiewanych ptasząt. Trzeci raz czerwone słońce zapadało o zachodzie za czarne, jak atrament sylwety górskich grzbietów... Aż stanął u źródeł sinej Missisippi...

Skakały po kamieniach srebrne potoki wijąc się w szczelinach i bryzgając obficie pianą... Szumiała przyjaźnie malutka Missisippi, gdy Ryczący Bawół pił chciwie jej zimną, kryształową wodę.

Słońce pokrwawiło we walce z nocą swą złocistą tarczę i żaliło się małej Missisippi, kładąc na jej falach krwawo-czerwoną głowę... Chwila jeszcze, a skryło się za niedaleki zrąb Upiornej Przełęczy... Kujoty poczęły szczekać żałośnie po rozpadlinach... srebrny księżyc wychylił się tajemniczo z za chmur, oświecając dziwnym blaskiem czarne gnaty skał...

A wtedy gdzieś daleko poczęły szczękać kopyta... i jeździec jakiś pojawił się na szczycie Upiornej Przełęczy... A Ryczący Bawół omal nie krzyknął z dzikiej, niewypowiedzianej radości... Standing Olbrzymi stał na grzbiecie Przełęczy...

Stał chwilę, wpił w ciemność sokole źrenice i czekał... a potem zwolna zjeżdżać począł ku dolinie, omijając zręcznie głazy i obalone drzewa. Ryczący Bawół spojrzał w tym kierunku, gdzie patrzały źrenice straszliwego Komancza.

Księżyc był już dość wysoko; na niebie nie było ani chmurki. Widać było wyraźnie stok góry i długą dolinę, a het, na dole białe plamy namiotów Komanczów. Roiło się tam od koni i ludzi. Dolatywał głuchy, zmieszany gwar wojowników i rżenie rumaków. Gromada jeźdźców oderwała się od tego rojowiska i zdążała szybko tam, gdzie zwolna jechał wódz, omijając głazy i obalone drzewa.

Ryczący Bawół zrozumiał wszystko... Wiedział przecież, co znaczą te ciemne pasy, które o blasku miesiąca widniały na twarzy wodza. Widział błysk przytroczonego do siodła sławnego tomahawku „Błyskawicy", którym walczył zawsze Standing na wyprawie wojennej. Zrozumiał, że wódz Komanczów prowadził swoje plemię na wielką wyprawę. A przeciw komu była ona skierowaną, jeżeli nie przeciw Wilkom Siwym, do których plemienia należał nasz Bawół. Wszak między nimi a Komanczami dawno już wykopano topór wojenny.

Serce wojownika stało się twarde i bezlitosne, jak stal, a myśli szybkie jak płomień. Zwolna tygrysimi ruchami skradał się ku górze, by przeciąć drogę wrogowi. Kilka chwil, a minął ostatnie głazy, zasłaniające mu Komancza. W dole dzwoniły kopyta; czerwoni jeźdźcy byli coraz bliżej... Jeszcze ruch jeden...

Ryczący Bawół i Standing Olbrzymi stanęli oko w oko... (C. d. n.)

Z miasta i dzielnicy.

TARNÓW. Harcerze tarnowscy żyją, organizacja tarnowska wzmacnia się liczebnie, a zdaje się i jakościowo. A że mają o sobie coś niecoś do powiedzenia szerszej publiczności, to dowodem tego choćby W i e c z o r e k h a r c e r s k i, który odbył się w Tarnowie w dn. 29 maja, na cele obozów wakacyjnych. W skład urozmaiconego programu Wieczorku wchodziły następujące punkty: Chór mieszany (harcerki i harcerze), który dziarsko wykonał szereg pieśni narodowych i żołnierskich, deklamacye, dalej fragment z 1863 r. p. t. „Walka o wolność", odegrany przez harcerki. Miłą atrakcyą było pojawienie się na scenie 16 malutkich harcerek — t. zw. zuchów —, które tak milutko i zgrabnie wykonały ćwiczenia rytmiczne w takt muzyki, że zachwyciły publiczność, wywołując burzę oklasków. Współudział w wieczorku przyjęła dobrze znana Orkiestra Mandolinistów Szkoły Realnej, której występ urozmaicił program. Dany na zakończenie obrazek z życia harcerskiego, (napisany „na kolanie" na tydzień przed Wieczorkiem) ukazał publiczności nasze życie obozowe, zdrowe, pełne swobody i wesołości. Rzecz odegraną z werwą i życiem przez chłopców dawała zamierzony efekt. — W antraktach przygrywała Orkiestra gimnazjalna, której, jak i orkiestrze mandolinistów, na tem miejscu składamy podziękowanie za bezinteresowny występ.

Wieczorek uwieńczony był pełnym sukcesem i przyniósł mimo bardzo niskich cen wstępu 845 K. Sala była przepełniona.

MIELEC pracuje — jak zawsze — rzetelnie. Drużyna liczy obecnie czterdziestu harcerzy, z tego 4 wywiadowców, a 30 młodzików; na wycieczki chodzą niemal co tygodnia, nie mówiąc naturalnie o gawędach.

Drużyna posiada własną, porządnie urządzoną wielką izbę, bibliotekę, biblioteczkę dla zastępowych, 54 książek treści przeważnie harcerskiej. Pieniądze mają, przeszło sto koron, wyekwipowanie dobre, mają 15 mundurów lwowskich, słowem dobrze im się powodzi, a że „Czuwaja" biorą i czasem coś nie coś napiszą, więc porządne chłopaki. Już to na harcerzy naszej dzielnicy pod tym względem skarżyć się nie mogę, piszą wszyscy, więc też, choć dla braku miejsca w krótkości, o wszystkich drużynach mogę wam opowiedzieć.

W BARANOWIE, koło Mielca, drużyna założona została w lutym b. r. 15/V. liczyła 25 harcerzy w tem 8 młodzików. I ci mają już swoją izbę (w Sokole) biblioteczkę z 55 książek i pieniądze w kasie. („Czuwaja" biorą).

Drużyna dębicka liczy 28 ludzi, w tem 4 wywiadowców, 8 młodzików. Chłopcy korzystają z pracowni stolarskiej (własność gimnazjum, wypożyczona harcerzom). Drużyna posiada kram z antykwarnią książek szkolnych, bibliotekę 250 tomów, porządny inwentarz; wydaje własne pisemko hektografowane; dotąd wyszły 3 numery. Zawiązuje się Patronat.

Pracę podjęła drużyna męzka w C i ę ż k o w i c a c h, która z powodu odjazdu drużynowego do wojska, zaprzestała pracy. Drużyną kieruje obecnie drużynowa drużyny żeńskiej, Dhna Emilja Łysakówna.

W GROMNIKU zawiązała się drużyna, licząca na razie 11 ludzi. Praca dobrze zapoczątkowana rozwinąć się może dobrze, o ile znajdzie życzliwe poparcie ze strony starszego społeczeństwa, które jak nam piszą, zaczyna się przychylnie do młodej drużyny odnosić.

Co do zakładania nowych drużyn — to jesteśmy zdania, że lepiej w szczupłym gronie chłopców dać harcerstwu dobre podstawy, niż dbać tylko o ilość i stan liczebny drużyn i z tego punktu widzenia oceniać pracę harcerską. Gdy jeden, dwa zastępy wyszkolimy, a! wtedy możemy być pewni, że przy dobrym instruktorze praca i z nowymi ochotnikami pójdzie, ale jeśli zaczynamy pracę od organizowania licznych drużyn i dajemy instruktorowi, często w dodatku młodemu i niedoświadczonemu 40 chłopców, nie wiedzących, czem jest harcerstwo, to tylko w wyjątkowych wypadkach stworzyć on z nich potrafi — 40 prawdziwych harcerzy. W każdym zaś innym wypadku z takiej pracy korzyści nie będzie żadnej, a drużyna taka prędzej czy później musi upaść.

NOWY SĄCZ. Od jednego z instruktorów nowosądeckich otrzymałem garść wiadomości z życia harcerskiego w Nowym Sączu.

Hufiec nowosądecki składa się z 3 drużyn.

I. im. Stefana Czarnieckiego, liczy 91 harcerzy, II. im. Romualda Traugutta — 14 harcerzy, III. im.

Tad. Kościuszki — 13 harcerzy — w Dębówce koło Sącza. W Hufcu są dwie pracownie: introligatorska i szewska, pozatem sklep z przyborami szkolnymi. Jak wszędzie, tak i u nich — chroniczny brak instruktorów.

Wspaniale rozwija się praca w obwodzie brzozowskim. W samym Brzozowie istnieją 2 drużyny męzkie i w styczniu b. r. założona drużyna żeńska. Prócz gawęd i wycieczek prowadzi się w żeńskiej drużynie kurs wyrobu sztucznych kwiatów, szycia, ogrodnictwa.

W drużynach męskich: introligatorski, telefonistów. Ponadto istnieje wyrób pasty do bucików i prowadzi się kram. Harcerze I. Bw. prowadzą drużyny wiejskie w Domaradzu i Turzempolu.

W skład obwodu brzozowskiego wchodzą drużyny sanockie. Istnieje tam hufiec męski, liczący 4 drużyn i żeński, liczący 2 drużyny.

CODZIENNE ZDARZENIE.

Pewnego dnia przechodziłem przez most na rzece, przepływającej miasto N. Wtem nagły i niespodziewany wiatr zerwał przechodzącemu mężczyźnie słomiany kapelusz, unosząc go i rzucając na środek rzeki.

Trzydziestu lub czterdziestu przechodzących ludzi pobiegło do baryery mostu, aby podziwiać płynący kapelusz. Lecz kiedy łódka pogotowia wyruszyła z przystani, aby kapelusz z tak przykrej i wilgotnej sytuacyi wybawić, a siedzący wartownik począł na kilka metrów długą laską czynić dziwne wysiłki, aby biedny kapelusz na tak zaimprowizowaną lancę nabić, towarzystwo przypatrujące się, wzrosło do paru setek, z wielkiem naprężeniem przypatrując się i wyczekując końca nadprogramowej podróży kapelusza.

Cała moc żartów towarzyszyła bohaterskim zabiegom ratownika, — lecz niestety tylko kilka z tego było prawdziwie dobrych.

Z każdą chwilą wybrzeże rzeki pokrywało się coraz bardziej wrzeszczącą, krzyczącą, a nawet bijącą się masą ludzką; zwłaszcza większość zgromadzonych, pesymistycznie usposobiona co do losów kapelusza, chciała mniejszej mniejszości swe przekonania stosunkowo dobitnie zaargumentować, argumenta te jednak uderzały w zbyt bolesną stronę optymistów, zmuszając ich do protestowania przeciw takim objawom samowoli sposobem niemniej dobitnym. Przerażony postępami pierwszej partji, opuściłem smutne pobojowisko. W mą stronę udał się również właściciel kapelusza — zdecydowany widocznie wyratowany kapelusz pozostawić na jakieś cele dobroczynne — a może poglądy pesymistów udzieliły się i właścicielowi?! Zmoczony, przebity kapelusz nie miał żadnej widać ponęty dla prawowitego właściciela.

Lecz któż opisze moje zdziwienie, kiedy po kilku godzinnej nieobecności, wracając tą samą drogą, zastałem mającą widać do dyspozycji sporą ilość czasu ciekawą publiczność jeszcze na stanowisku poprzednim, teraz jednak z jakiemś widocznem naprężeniem nerwów patrząca w siną wodę. „Tam leży on" — tłomaczyła mi jakaś dobrze odżywiona jegomość niezrozumiałą zagadkę, wskazując zarazem na widniejący na rzece maszt łodzi.

„Kto taki?" — zapytałem.

„No, ten samobójca".

„Samobójca?" — rozpiąłem płaszcz, i począłem rozglądać się szybko po otaczającym mię tłumie, aby jaknajlepsze miejsce znaleźć do wskoczenia w wodę, i rzekomemu samobójcy przynieść jeszcze może niespóźnioną pomoc.

— „Czy on długo już pod wodą„ — zapytałem, „i czy pani widziała go jak wskakiwał?"

„Nie" — odpowiedziała, „stoję tu już blisko pół godziny, jednak inni twierdzą, że wskoczył!"

Teraz wiedziałem już wszystko. — Małe zdarzenie ze słomianym kapeluszem przechodząc w opowiadaniu z ust do ust, urosło do wielkiego nieszczęścia, a tłum wyczekiwał cierpliwie i spokojnie, czy ofiara sama przez się nie ukaże się na falach.

To jest właśnie ten tłum, który włóczy się w poszukiwaniu senzacji, i staje zadziwiony, jeżeli na ulicy złamie się zmurszałe koło od wozu, lub, jeżeli biedny koń fiakierski pośliźnie się na asfalcie.

Czy prawdziwy harcerz w takich gapiących się tłumach ma czego szukać? Nie! Harcerz działa, niesie pomoc — a gdy nie zachodzi potrzeba pomocy, idzie dalej swoją drogą. *Przerobił z niem. Cez.*

Co harcerz wiedzieć powinien?

Prosty filter można sobie łatwo zrobić w ten sposób: do rurki od fajki wkłada się trochę waty, główkę zaś jej napełnia się węglem drzewnym lub azbestem. Węgiel drzewny ma tę właściwość, że nie tylko filtruje wodę, lecz też odbiera jej nieprzyjemny zapach. Węgiel ten przykrywa się kawałkiem muślinu, a do rurki przymocowuje się wężyk gumowy. Chcąc teraz napić się wody, wkłada się do niej główkę fajki — rurką zaś wysysa się czystą już wodę. Zamiast fajki można też użyć innego, byle z dwu stron otwartego naczynia. H. S. w. B. Pf. R. 3. Nr. 3.

Jak łatwo wejść na drzewo? Zwyczajnie „drapiąc" się na drzewo, każdy większą część roboty powierza rękom i kolanom, murzyni natomiast pracę całą prawie powierzają stopom. Australczyk naprzykład, wchodząc na grube drzewo, zarzuca nań lianę, za której wolne końce chwyta. Następnie wyprężając nogi o pień oparte posuwa lianę do góry — stawia nogi wyżej — znowu podrzuca lianę i tak wdrapuje się po gładkim pniu aż do gałęzi. Sprytniej jeszcze urządzają się mieszkańcy Kongo, którzy końce tej liany wiążą i zamiast trzymać ją rękami — opierają się plecami — i przesuwając pętlę po drzewie, maszerują do góry.

Numer 4-ty wyjdzie po wakacjach w zwyczajnej objętości. *Administracja.*

Wydawca: Harcerska Komenda Dzielnicowa w Tarnowie. — Z Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie, ul. Wałowa l. 4